

Piotr Surma

.....

Moja KANADA





Piotr Jan Surma – ur. w 1982 r. w Nowym Targu marzyciel, fantasta, gitarzysta, meloman, miłośnik lasu i amator gór oraz poszukiwacz siebie na łakach czasu. Z pochodzenia Góral, ale mieszkający nad morzem w obcym, ale jakże swojskim kraju – Anglii. Autor kilku niedościgniętych przez sukces utworów muzycznych pod szyldem PJ Surma – do odsłuchu na YouTube. Były gitarzysta Roadhouse Bound oraz Orpheus' Fury. Obecnie grający muzykę gitarowo-relaksacyjną.

Moja podróż do Kanady nie była zwykłą wycieczką. To było coś więcej niż przelotny romans na dzikiej plaży u podnóża Gór Skalistych. To prawdziwa miłość – szczerą, bezkształtną, bezinteresowną i czystą. **Moja Kanada** to podróż przez życie w stronę marzeń na wietrze przeciwności losu, którym to warto stawiać czoła. To opowieść o wierze w swoje możliwości, o upadkach i o lewitacji ducha marzyciela w krainie realnych wrażeń. To refleksje z podróży oczyma artysty, muzyka i poety z głęboką analizą człowieka jako wartości bezcennej.

Moja Kanada – to Moje Marzenie.

Autor

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

Sorus

Piotr Surma

MOJA KANADA



Poznań 2021

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Redakcja
Błażej Kuszteński

Projekt okładki
Emilia Dajnowicz

Skład
Dominik Szmajda

Copyright © by Piotr Surma 2021
Copyright © by Sorus 2021

Wydanie I

ISBN 978-83-66664-61-6 książka
ISBN 978-83-66664-62-3 e-book

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Od Autora

Moja podróż do Kanady nie była zwykłą wycieczką z bagażem wypełnionym rzeczami na zmianę ani też przelotnym romansem na dzikiej plaży u podnóża Gór Skalistych. Była prawdziwą miłością, szczerą i bezinteresowną – bezkształtną i krystalicznie czystą.

W Kanadzie tańczyłem z wiatrem wolności na bezdrożach rzeczywistości. Wyrosły mi tam skrzydła. Latałem na krańcach nieba, pływałem łodzią, pędziłem dziką i krętą drogą. Zatrzymywałem się w prawdziwej chwili, fotografowałem czas na tle natury. Z prerii, przed szeroko otwartymi oczyma, wyrastały mi przepiękne góry, a ich szczyty wbijały się w tajemnicze chmury.

W Toronto stałem na szczycie najwyższej wieży. Wierzyłem tej wieży. Słyszałem lament upadku niezliczonych kilogramów wody. To Niagara tak głośno krzyczała, że ogłuchła każda nieistotna sprawa. Poznałem zapach ambrozji, prosto z samego nieba, z lasu tropikalnego – i tego też mi było potrzeba.

Banff ugościł swojsko. Czułem się jak w domu, jakby moja dusza zatoczyła koło i wróciła do domu. Spotkanie z Mt. Norquay – oko w oko. Wymieniliśmy spojrzenia w milczeniu. Nie trzeba było gadać, bo po co to i komu? Przy wschodzie i zachodzie słońca wsłuchiwałem się w szepty rzeki Bow. Spacerowałem i oddychałem, a puzzle cudownych ujęć układały się w opowieści z podróży.

W Jasper byłem bezdomnym, toczyłem się po ulicach w objęciach przestrzeni. Icefields Parkway – droga jakich mało. Oj działa się, działa... Nie chciałem celu, mógłbym tak prowadzić i jechać bez końca. Widziałem jeziora o innym znaczeniu, kolory błękitu z innej epoki. Postawiłem nogę na starym lodowcu. Dwa razy płakałem ze szczęścia. W zwolnionym tempie i jak te powolne ujęcia, klatka po

klatce, rozplýwałem się w znaczeniu. Pierwszy raz widziałem sens życia i Boga dzieło doskonałe, bez pośpiechu, piękno w każdym oddechu.

Na Spirit Island słyszałem dźwięki z najgłębszych zakątków duszy. Nawet instynkt przetrwania stanął na wysokości zadania i też się wzruszył. Pędziłem pociągami przez prawdziwy dzień i ulotną noc. Zajrzałem przez otwarte okno do samego nieba. I jak tu nie spełniać marzenia?!

W Vancouver było jednak inaczej – szklane domy z drzewami na dachu. Taki prawdziwy dziki zachód, tajemniczy i mroczny, który intrygował nieodgadniętym spojrzeniem. Włóczyłem się po ulicach, jadłem i piłem kolejną kawę na Granville Island.

Vancouver! To, co dla mnie było rajem, dla innych było piekłem w szponach nałogu. Porzuceni przez nadzieję, ludzie bez kompasu, mapy i planu.

Cieężko się przyznać, lecz życie to „kwestia wyborów”.

Ja – marzyciel z krainy realnych wrażeń.

DLACZEGO KANADA?

To już prawie siedem lat od mojej kanadyjskiej eskapady – zwieńczenia marzeń o zapachu klonu i soczystej sosny. Wolność w tle olbrzymich przestrzeni, wszystko większe od znanej miary: tropikalny deszcz – prysznic, jakiego nigdy wcześniej nie znałem; preria – równina wyjęta z filmowej scenerii i wklejona w rzeczywistość dnia teraźniejszego niczym znaczki na kartkę pocztową. I te góry... Hmm...

Kanada nigdy nie była dla mnie jakimś tam zwykłym krajem. Raczej stanem życia zaczerpniętym z głębokiego oddechu, który nigdy nie miał się spełnić. Bo niby jak? I może zabrzmi to niczym przyspiewka starego formatu, ale to naprawdę były inne czasy. Przynajmniej w moim wydaniu. Czasy brutalnych niepowodzeń oraz bardzo ambitnych marzeń, które stały się pokarmem dla mojej duszy, paliwem do wehikułu czasu, który miał dopiero wyruszyć po swoje przygody.

Wizja Kanady od zawsze szumiała mi w głowie jak rwąca rzeka, jak podmuch newralgicznej chwili. Jawiła się jako kraina raju i wolności, pełna przestrzeni i ezoterycznych kształtów – innych i niewinnych. Mnie, urodzonemu w polskich górach, gdzie Tatry w zasięgu wzroku wabią i przyciągają uwagę każdego dnia, rzucając swój czar na publiczność przyjezdną oraz mieszkańców okolicznych wsi i dwóch miast – Nowego Targu i metafizycznego Zakopanego. I tworzą bajeczny spektakl codziennej przemiany, metamorfozy wyjętej żywcem z Czterech Pór Roku Vivaldiego, gdzie Gorce, Pieniny i mój majestatyczny Przełom Białki – niczym mniejsze jeszcze rodzeństwo – składają się na całość góralszczyzny.

Tatry jak magnes skupiały mój wzrok od najpierwszych, niewinnych kroków dziecka. To tu od najmłodszych lat marzenia zderzały

się z rzeczywistością, brutalny realizm z fantazją, świat dnia codziennego z cykliczną zmianą pór roku oraz huśtawkami góralskich nastrojów. Podczas halnego powiewa na maszcie wiele zmiennych flag.

Ten pierwszy śnieg na szczytach gór od połowy lata i zimne powietrze zwiastujące zwolnienie czasu i dłuższy sen. Jesienne spacer, zapach wilgotnej watry z gęstym dymem cetyny i piwo. To piwo... ten czas... ci ludzie... bunt przełomu wieku. To właśnie tu zdarzyły się pierwsze nieudane podboje miłosne, które bołą do dziś. Zakazany czas jak zakazany owoc – hymn młodych i wielkich dni. Nic tak nie pachnie fantazją jak rzeka Białka w letni ciepły wieczór, podbarwiony zachodem słońca i tęsknotą zmienioną w nostalgiczny uśmiech.

To wszystko było niczym ziarno, z którego wykiełkowało marzenie o Kanadzie, dzikiej i wolnej w swojej naturze. Te śpiskie korzenie, z których wyrosło drzewo zakwitłe kwiatem pachnącym, owocem kuszącym snem o wolności bez końca. Ale skąd ten sen? Tego nie wiem. Zawsze go miałem w sobie, a on zawsze wołał głośno moje imię i wzywał: Przyjedź do Kanady!

MARZENIA

Wszystko zaczyna się jednak od marzeń i głodu wrażeń. Ale żeby marzenia nie okazały się zepsutym jabłkiem, trzeba wziąć się w garść i do roboty. Marzenia nie spełniają się same! To nie jakaś tam wygrana w totolotka! Takie myślenie wprowadza w błąd i gubi w labiryncie życia na samym starcie. Na marzenia trzeba (wręcz powinno się!) ciężko pracować. Ta satysfakcja, to planowanie, niepowodzenia, wloty i upadki uszlachetniają każdy krok, a droga staje się opowieścią ważną i unikatową – jak moja. Tak właśnie myślę, że ta opowieść jest unikatowa, bo moja i najprawdziwsza. Wierzę, że każdy może napisać i pisać własne dzieło swoim czynem. Nie zawsze może słusznym, ale w końcu jesteśmy tylko ludźmi i łatwo nam popełnić błąd.

PLANOWANIE

Marzenia + rzeczywistość = planowanie i determinacja. Pieniądze oraz czas to dwie potrzebne rzeczy, których ciągle było mało. Ale co zrobić? Mało jest – i zawsze będzie! Nie ma co się nad tym rozczulać, tylko brać życie za rogi i działać!

Osiemnaście dni w raju pochłonęły dwa i pół tysiąca funtów szterlingów (suma podana w walucie zarobkowej), a warte były sto milionów razy więcej – bez pięciu zdań. Każda chwila, każda sekunda oddechu kanadyjskim powietrzem, spełnionego snu, okazała się tak cenna, że aż bezcenna! I nie da się tego ocenić ani przecenić! Można – tylko i aż – docenić. Czas nie ma swojej ceny. Sami decydujemy, ile jest wart i co chcemy z nim zrobić. A czas w Kanadzie był tylko mój i okazał się preludium do wielkich zmian. Wreszcie otworzyły mi się okna na świat, a świeże powietrze wypełniło płuca. Nabrałem głębokiego wdechu i poczułem, wręcz uwierzyłem, że mogę żyć na pełnych żaglach – z wiatrem, a nawet pod wiatr.

Rzeczy formalne, takie jak wiza i dokumenty potrzebne do wkroczenia na obiecany ląd, zacząłem przygotowywać już sześć miesięcy wcześniej. Wedle zasady podróżuje się trzy razy! Przygotowanie do podróży to pierwszy etap i bardzo ekscytujące przeżycie. A więc kartkowanie stron przewodnika i setki godzin wertowania stron internetu, aby potem jak najwięcej zobaczyć, zwiedzić, a przy tym nie zamęczyć i nie rozczarować swojego marzenia. Im zatem więcej czasu i sił poświęcimy na to przed wyjazdem, tym więcej luzu będziemy mieli w trakcie przygody. Dzień wydłuży swoje godziny, a wschody i zachody słońca pozwolą kontemplować niezapomniane chwile.

Skoro zaś jestem mistrzem planowania i planów awaryjnych (a nawet awaryjnych do awaryjnych), przygotowywałem się bardzo skrupulatnie do mojej kanadyjskiej przygody. A pisząc to, tu i teraz, po latach na Małym Manhattanie, ciarki przechodzą mi po plecach na same wspomnienia.

Boże, jak tęsknię!

AUTOBUS

Podróż zacząłem z Plymouth w Anglii, jako że mieszkam tu od kilku dobrych, a nawet świetnych lat i zim. U jej początku towarzyszyła mi siostrzenica, która tego lata umiliła mi czas swoją obecnością. Dziecko na wychowaniu... No dobrze, przyjechała sobie dorobić i podskolić język. A że mieszkam w Anglii, miała gdzie się zahaczyć na całkiem przyjemne lato nad morzem.

Wyruszyliśmy do Londynu, gdzie nasze nogi i walizki rozjechały się na taśmach lotniska w różne strony, do innych samolotów. Andżelika – kierunek Kraków, a ja – cztery godziny później – liniami Airtransant przez ocean, jak niegdyś mój pradziadek.

Pożegnalny rytuał z siostrzenicą odbył się na lotnisku Gatwick. Standardowe ważenie torby Andżeliki i nagle głupia mina. – Pani Andżeliko, torba jest za ciężka i trzeba ją odchudzić albo dopłacić – stwierdziła obsługa. Jednakże na żadne korygujące manewry nie było już czasu, wybrałem więc opcję dopłaty. I co tu dużo gadać, walizka była tak wypchana, że aż wzdęła się do granic wytrzymałości materiału. A ja, naiwny, nic nie zauważyłem! A przecież młoda musiała złożyć na niej swoje cztery litery, żebym mógł domknąć stawiający opór zamek. Domowe ważenie też okazało się mistyfikacją i umknęło mojej uwadze. Ach ta naiwność i góralska wiara. Szlag traffic!

SAMOŁOT

Olbrzymi teleport na skrzydłach. Mojemu pradziadkowi podróż za Wielką Wodę zajęła sześć tygodni – przynajmniej tak wynikało z opowieści babci. Mój lot trwał osiem i pół godziny i wypełniony był na zmianę kilkoma filmami i posiłkami. Jednak strach przed rozczarowaniem pukał w okna moich marzeń. – A co, jak nie będzie fajnie?

Lot według czasomierza trwał trzy i pół godziny. Jak wspomniałem wcześniej, normalnie teleport. Przetawienie zegarka odbyło się z automatu, natomiast mój biologiczny zegar zaczynał odmawiać posłuszeństwa. Oczy zamykały się ze zmęczenia, a brak snu w ciągu ostatnich dwóch dni dawał się mocno we znaki. Pozbierałem jednak ostatki sił i zrobiłem historyczny krok z kabiny samolotu w inny świat. Świat marzeń, który wkraczał w świat mojej rzeczywistości.

KANADA

W Toronto (miejscu spotkań) wylądowałem po długim wyczekiwaniu. Lata świetlne marzeń stały się rzeczywistością – tu i teraz. Dumnym i zmęczonym krokiem podszedłem do odprawy. Kilka pytań i... czerwona krecha. I wielkie przerażenie w moich oczach. – Ale jak to? Dlaczego? Co się stało? – Odpowiedź, niestety, nie padała. Tylko skinieniem ręki mundurowy zza szyby wskazał mi kolejkę zesłańców. Tych, co to mieli brzydkie zdjęcia w paszportach lub jakieś inne niejasności w dokumentach, względnie podejrzani byli o przemyt albo – zwyczajnie – ich powód przyjazdu do „ziemi obiecanej” nie przekonywał upartych celników. Jak widać, nie tak łatwo dostać się na rajske ogrody.

Byłem jednak dobrze przygotowany. Wszelkie papiery potrzebne do przekroczenia pierwszej bazy leżały spokojnie w plecaku. Przyśtałem więc do ofensywy. Nie po to tu przyleciałem, żeby wracać następnym kursem, z wielkim rozczarowaniem i pustym bagażem doświadczeń. Nawet zdjęcia jeszcze żadnego nie zrobiłem, a jakiś tam celnik już mnie do domu pakuje?! Niedoczekanie jego!

Mundur numer 2 zaprosił mnie do biurka przesłuchań. Pytania posypały się jak z automatu. Cytowane rubryki wyuczonych formułek, przenikliwy wzrok i kartkowanie zawartości teczki. – Po co pan przyleciał? Gdzie zamierza się pan zatrzymać? Kto opłacił podróż?

Z wielką determinacją zacząłem przedstawiać kolejne dokumenty potwierdzające moje sensne zamiary. – Zwiedzanie tak pięknego kraju, jakim jest Kanada, zawsze było moim marzeniem – tłumaczyłem. Mundur numer 2 patrzył ze zdziwieniem i niedowierzaniem w oczach.

– To jak to? Przyleciałeś sam? Nie masz żadnej rodziny ani znajomych w Toronto?

– Tak, panie władzo – poślodziłem z przekonaniem w głosie.

– A gdzie będziesz spał?

Wyjąłem więc wypchaną papierami i biletami na dalszą podróż niebieską teczkę. Numer 2 przyglądał się z uwagą jej zawartości, by zaraz dopatrzeć się pięciu dni przerwy i braku noclegu.

– A te dni to co? – zapytał z ironicznym znudzeniem i miną, jakbym był jakimś wariatem.

– Na te dni mam namiot i wynajęty samochód – odpowiedziałem z udawanym spokojem, choć serce waliło mi jak oszalałe, panika brała górę, a nerwy odmawiały posłuszeństwa. Wizja powrotu – czy tego chciałem, czy nie chciałem – szwendała się koło mnie jak bezpieczny pies.

– Namiot? – mundur nr 2 uśmiechnął się do mnie jak do wariata, oddał dokumenty i wskazał na umundurowanego numer 3. Jak widać do 3 razy sztuka!

Z opuszczoną głową i niedowierzaniem w oczach podszedłem do munduru nr 3, który był zajęty rozmową z innym numerem, tym razem płci pięknej. Chwila ignorowania mnie z jego strony, a ja stoję i czekam jak na wyrok Sądu Ostatecznego. Wreszcie raczył zauważyć moją obecność i z wielkim wysiłkiem wydusił z siebie ostanie, jak się później okazało, pytanie:

– Student?

– Nie – odpowiedziałem.

– To do wyjścia, proszę! – zarządził.

Jestem!!! Otworzyły się dla mnie bramy raju! Uśmiech na twarzy aż parzył od radości. Cała ta szopka dodała tylko pikanterii. Endorfina mocno pulsowała w żyłach, a świat znów stał się pięknym polem do popisu. W powietrzu czuć było radość, kolory wróciły na swoje miejsce. Czarno-biały groteskowy film przeszedł do historii. I rozpoczęło się TU I TERAZ.

Bagaż czekał na podłodze samotnie. Wszystkie inne torby dawno już znalazły się w rękach właścicieli. Zarzuciłem plecak na ramię, a ten przytulił się mocno do pleców. I w drogę, ku przysgodzie!

Do Toronto wyruszyłem z lotniska autobusem, z przesiadką na metro. Autobus snuł się wirażem dróg pełnych świateł i zakrętów. Potem przesiadka na podmiejski pociąg. Metro w Toronto zaskoczyło mnie swoją prostotą. Zaledwie cztery linie, z czego korzystałem tylko z jednej. W wagonie dosiadła się do mnie pasażerka z mojego lotu. Młoda dziewczyna, artystka, malarka – przynajmniej tak się przedstawiła. Siła przyciągania? No cóż, nie inaczej! Rozmowa zaczęła się od mapy. Chciałem uzyskać informację, jak dojść do bazy spoczynkowej. Dziewczyna, już nie pamiętam jej imienia, okazała się rodowitym tubylcem z dżungli Toronto. Nakreśliła mi szybko trasę od stacji, w której miałem opuścić podziemia metra. Po chwili jednak rozmowa skręciła na inny tor. Pani artystka także była głośno zdziwiona moim wyborem wakacji w Kanadzie. Wyjaśniła, że rodowici Kanadyjczycy latają raczej w stronę słońca, żeby wygrzać swoje ciało... Kuba, te sprawy. Jak widać, w życiu doceniamy tylko to, czego nie mamy albo mamy mało. Kanadyjczyków dziwił mój wybór, bo mają na co dzień swój kraj, a ich codzienność często bywa szara: praca, problemy i inne rozrywki serwowane z worka rutyny. Ale dla mnie przyjazd do Kanady był Świętem Życia.

Przedstawiłem koleżance z londyńskiego lotu w skrócie swój plan podróży, od wschodu do zachodu z rytmicznym cyklem ruchu słońca, tylko w innym wymiarze czasowym. I wyjaśniłem, że to nie wakacje, ale podróż życia! Moje „być albo nie być”. Jeszcze kilka lat wstecz wszystko było niemożliwe. Polska ograniczała każdą komórkę mojego ciała, zakompleksienie toksyczne, utracona wolność ducha. Nie żebym narzekał czy obwiniął moją ojczyznę, jednak przesiąknięci komunizmem ludzie kształcili i kształtowali mojego ducha tym, co mieli. Frustracja i krzyk nieświadomych jednostek w olbrzymim stopniu wpłynęły na moje zachowanie. I powtarzany w szkole slogan: „z kim się zadajesz, takim się stajesz”, a szkoła ta była tego najlepszym przykładem. Ale już dość o przeszłości, wracamy do TU I TERAZ.

Pożegnałem się z koleżanką artystką. Wymieniliśmy namiary sieciowe internetu i w drogę. Jedna już tylko myśl krążyła mi w żyłach i głowie: łóżko! „Łóżko to obszar magiczny”. Spać! Zmęczenie osiągało swoje apogeum, adrenalina traciła moc. Każdą baterię trzeba kiedyś doładować, a moje świeciły na czerwono już od dłuższego czasu.

Rzut okiem na mapę. Do celu zaledwie dziesięć przecznic: prosto, w prawo i znowu prosto. Ruszyłem więc krokiem wojskowym. To był mój marsz zwycięzcy, defilada na nowej ziemi. Szedłem i szedłem, aż przeszedłem moją pierwszą bazę w wielkim mieście Toronto, całkowicie pochłonięty zwiedzaniem zmysłami i zauroczony energią nowego miejsca. Fascynacja ta dodała kilka procent mojej wyładowanej baterii. Ale co to? Tryb awaryjny? Włączył się mój wewnętrzny alarm ostrzegawczy. Nieświadomie wlałem na tereny wroga jako najeźdźca i intruz. Okrzyki tubylców, strzały z jadem poleciały w moją stronę, przebijając balon nadętych marzeń. Asekuracja! Ratuj się, kto może! Spadochron zapasowy i szybki desant. Lądowanie na twardym bruku rzeczywistości i odwrót, gdzie pieprz rośnie, czyli pięć minut wstecz. Przyspieszyłem do granic udawanej przyzwoitości, a alarm ciągle wył: niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo... Ratuj się, kto może!

Przystanąłem po kilku minutach szybkiego sprintu, szukając w kieszeniach głębszego oddechu. Nawet najlepszy żołnierz powinien wiedzieć, kiedy się wycofać. Cóż, na tym akurat się znam. Ale jak uciekać, to uciekać, każdy głupi to wie. Aż tu zza rogu wyłonił się wyluzowany przedstawiciel innego plemienia. Normalnie to spadł mi chyba z samych anielskich niebios. Jak widać dobre moce czuwały nade mną, duszą zagubioną w przestworach czasoprzestrzeni. Uzbrojony w szeroki uśmiech i dobre intencje rzucił spontaniczne: – A ty co tu? Chyba ci się drogi pomyliły. Nie ma tu żadnych atrakcji turystycznych, tu rządzi twardy realizm chwili. – Szybka weryfikacja

zdarzeń i upragniona rejestracja w akademiku na nazwisko SUR-MA. Dzięki ci, nieznajomy wybawco!

Jak się okazało, minąłem swoje cztery ściany na wynajęcie już jakieś pięć minut wcześniej. A podróż to była jakby w inny wymiar – okien szczelnie zamkniętych, zamiast kwiatów zdobionych kratami.

Pochłonięty nowym miejscem zupełnie straciłem rachubę miejsca i czasu. Moja baza, moje łóżko, mój cel. Wiele akademików wynajmuje swoje pokoje podczas wakacji. Kilka razy miałem okazję korzystać z takiej oferty. Polecam, bo cena zawsze przystępna, a i lokalizacja często niczego sobie, w samym centrum akcji – czyt. miasta.

Pokój wyposażony we wszystkie potrzebne wygody, to jest: łóżko, krzesło, dostęp do prądu i wody. A ja, zamiast spać, doładowałem kilka kresek baterii szybkim prysznicem i w miasto. Chęć poznania nowego miejsca nie dawała spokoju. Po pięciu minutach stałem już na Yonge Street, głównej ulicy Toronto, tętniącej pełną życia. Zatłoczone chodniki w uścisku spacerowiczów, szum i zgiełk kosmopolitycznej przestrzeni. Poczułem się jak w żywym organizmie, pulsującym głośno życiem. Ulice jak żyły, a ludzie jak komórki, dzielnie napędzające istnienie oraz sens betonowych, opartych o człowieka ścian. Bo czym byłoby miasto bez człowieka – pełnego kunsztu i kreatywnej kultury?

Pierwsze kroki w Toronto nie były gościnne, ale już po chwili wiatr wolności rozwiął chwile zwątpienia, rzucając swój urok wraz z cieniem zachodzącego słońca. Opadała kurtyna dnia i wyłaniało się miasto w reflektorach kolorowej nocy. Wyszły z miejsc pracy wolne chwile – głodne zachcianek i spełniania życzeń. Roztańczyły się parkiety, rozgadały piwne stoły.

Toronto od środka, centrum, downtown. Skupisko wpływowych wieźowców oświeconych reklamą dobrą na wszystko. Zapach spalin zmieszany z kuszącym jedzeniem, zaciepłym paliwem dla ciała.

Jedzenie unosiło się w powietrzu tlenem smakowym z nutą aromatu finezji. Remont na remoncie, tłumy ludzi pędzących przed siebie, miejscowi, zamiejscowi i... turysta.

Ale dla mnie dzień dobiegał już do mety, a sen nużył ciało. Moje ja powoli odpływało z rzeczywistego w głęboki sen.

Kanada może i nie przywitała mnie fanfarami czy oklaskami gościnności. Może i była trochę pochmurna, jakby humor miała gorszy. Ale przecież mnie też się to zdarza! Jednakże ten nastrój, jak struny gitary, dostrajał się powoli do wielkich oczekiwań wyobraźni i miał jeszcze wybrzmieć na miarę muzyki Beethovena. A mur graniczny malowany przez artystę graficiarza został z tyłu za plecami nieistotnych znaczeń. Byłem TU I TERAZ. W końcu rzeczywistość zawsze prostuje nasze marzenia, lecz czym byłyby marzenia bez niej? Trzeba sprawdzić, jak smakują potrawy, a nie tylko kosztować piękne fotografie z menu, zanurzyć łyżkę i brać, ile się da. Najeść się do syta, ale tak, by nie było wzdęć czy bólu brzucha.